Nr. 15. Kraków, dnia 1 grudnia 1904 r. Rok I.

ROBOTNICA

Wychodzi 1 każdego miesiąca.
DODATEK DO „NOWEGO SŁOWA“
poświęcony interesom kobiet pracujących zawodowo.

KOBIETY PRACUJĄCE ŁĄCZCIE SIĘ!

DĄŻENIA KOBIETY DZISIEJSZEJ.

Kiedy zakładałyśmy „Nowe Słowo“ i „Robotnicę“, dążeniem naszem w pierwszym rzędzie było rozbudzenie ogółu kobiet, z których niestety jeszcze bardzo wiele spoczywa w śnie lub apatyi. Pragniemy wyrwać je z tego stanu niemocy, pobudzić do myślenia, zorganizować zastępy czujących, myślących i działających obywatelek kraju.

Gdy spojrzymy na ogrom pracy, jaki nas na tem polu czeka, istotnie przerażenie ogarnąć by mogło. Warunki społeczne, w jakich kobieta żyła dotychczas, wytworzyły z niej niestety materyał niesłychanie na wszelkie wpływy obojętny i oporny. Doświadczenia różnych partyj politycznych ze zorganizowaniem kobiet są tego wymownym przykładem. Wiekowa niewola potrójna: ciała, ducha i chleba stworzyły z niej istotę bierną, przybitą a często upodloną. A więc potargać pęta tej potrójnej niewoli to pierwsze zadanie. By jednak módz pęta targać, potrzeba na to energii, a w pierwszym rzędzie woli ze strony interesowanych a przedewszystkiem uświadomienia w sobie dostatecznej po temu mocy. To też budzić „śpiące“ wszelkiemi możliwemi środkami, to zadanie pierwszorzędnej wagi. W tym celu mamy zamiar zapomocą wieców, odczytów, petycyj, broszur, pism, dyskusyi i t. p. uświadomienie jaknajszerszego ogółu kobiet mieć będzie na

widoku. Pragniemy z tym samym programem wyjść poza mury Krakowa i rozpocząć akcyę szerszą, powołać do życia obywatelskiego zastępy kobiet prowincyonalnych, żyjących w dużo gorszych, niż my tu warunkach.

Mógłby nam tutaj ktoś zarzucić, że praca nad uświadomieniem kobiet jedynie, to praca jednostronna, ciasna, ponieważ tylko części społeczeństwa dotyczy. Odpowiedzieć na to musimy. Niestety ta część społeczeństwa jest dotychczas ciemniejsza, pod każdym względem upośledzona. Kobieta niema możności kształcenia się (statystyka szkół elementarnych, zawodowych i średnich znakomicie to ilustruje). Na 10 semin. męskich mamy 1 żeńskie, szkół przemysłowych i zawodowych nie mamy dla kobiet wcale, szkół średnich brak również a o samo prawo korzystania z wykształcenia wyższego walczyć jeszcze potrzeba, bo większość sfer decydujących do dziś dnia jest zdania, że kobieta jest tem milszą i lepszą, im mniej rozumu posiada. Kobieta dostaje za równą pracę mniejszą zapłatę a i o samą możność pracowania bardzo często ciężko walczyć musi. Kobieta nie ma zabezpieczonego najistotniejszego swego prawa, bo prawa macierzyństwa, które to prawo jaknajrychlej przez społeczeństwo uregulowanem być winno, inaczej patrzeć będziemy stale na te tysiące rodzących się w nędzy i ginących marnie istot ludzkich (statystyka samej tylko Warszawy podaje na rok 10.000 śmierci niemowląt wskutek opuszczenia lub nędzy matek). Kobieta dalej przez ustawę i prawo nie jest uznaną za istotę dojrzałą i wolną, bo co do praw politycznych to jest ich całkowicie pozbawioną, co zaś do cywilnych to tysiączne ograniczenia dotykają ją na każdym kroku, chociażby tylko w prawie majątkowym lub prawie wykonywania opieki nad dziećmi.

To też dopóki wszystkie te ograniczenia i upośledzenia kobiety nie będą zniesione, dopóty obowiązkiem naszym będzie staranie o wyrównanie tej przepaści, jaka między dzisiejszym mężczyzną i kobietą stwarza niezdrową konkurencyę. Praca nad wyzwoleniem kobiety w ten sposób pojęta, jest pracą ogólnie kulturalną, ogólnie pożyteczną, bo dzięki tej pracy przybędzie ogółowi cały zastęp pracujących bojowniczek, na drodze ogólnego rozwoju.

Kobieta ze sfer pracujących lub wogóle ekonomicznie gorzej położona, cięższej odczuwa brzemię niedoli, to będzie rzeczą organizacyj zawodowych wziąć tę stronę życia kobiety w obronę. To też uważając za niesłychanie doniosłą akcyę organizowania kobiet w specyalne związki zawodowe, współdziałamy razem ze Związkiem Kobiet, który broniąc interesów kobiecych równorzędnie i niezależnie pracować zamierza nad ogólnem uświadomieniem kobiety, nad podniesieniem poziomu jej kultury, wyrobieniem w niej poczucia swej mocy w kierunku zrzucenia dotychczasowego jarzma, którego wynikiem jest jej dzisiejsza nędza i ciemnota.

Boć prostym wynikiem pracy takiej obok bezpośredniego przybytku sił w szeregach świadomych i czynnych obywateli kraju, będzie również

pośrednie oddziaływanie na rozwój ogólny przez kobietę, jako matkę i wychowawczynię społeczeństwa.

Kwestya kobieca, jeśli istnieje w tej formie, jaką ją dziś widzimy bezwarunkowo w najbliższem pokoleniu w znacznej mierze zredukowaną zostanie. Kobieta świadoma swej ludzkiej godności inaczej wychowa przyszłe pokolenie, na wolnych ludzi nie zaś niewolników.

Tak więc dochodzimy do sformułowania celów naszych i pracy naszej. Doprowadzić jak najszerszy ogół kobiet do tego stopnia świadomości i kultury, aby te jako wychowawczynie przyszłego pokolenia dopomogły do rozwiązania tych zagadnień społecznych, które się na tej drodze rozwiązać dadzą a jako pracownice, umiały bronić swoich praw.

Dotychczasowe bezpodzielne panowanie uprzywilejowanego mężczyzny, dało nam w rezultacie, jak powiada Björnson, duński poeta, podzielenie ludzkości na dwa potężne zbrojne przymierza, wśród których drżą ludy, mniej liczne a w dwa tysiące lat po Chrystusie straszliwym panem i władcą jest brutalna siła armii, na zaspokojenie nienasyconych pożądań, której idzie przeważna część tego, co ludzkość wytworzyć jest w stanie.

Koniecznem jest tedy wniesienie do dzisiejszych ideałów militarnych ideału kobiecego, który nigdy z moralnością na przemocy opartą nie miał nic wspólnego. A do tego potrzeba koniecznie współudziału kobiety we wszelkich przejawach życia społecznego. Musi ona zabierać głos we wszelkich sprawach ogół obchodzących, nie wolno jej usuwać od żadnej instytucyi, żadnego ciała regulującego wzajemne między ludźmi stosunki. Ale na to trzeba kobiety oświeconej, odpowiednio przygotowanej a przedewszystkiem wolnej i niezależnej. *Kazimiera Bujwidowa.*

STOWARZYSZENIE POŁOŻNYCH W KRAKOWIE.

Przy stowarzyszeniu „Związek kobiet“ organizuje się zawodowe stowarzyszenie akuszerek, które odczuwając liczne przykrości swojego położenia, postanowiły za przykładem lekarzy drogą zbiorowej samopomocy starać się o poprawę swej doli. Odbyło się dotychczas pięć zgromadzeń, na których zawsze licznie zebrane położne, radziły nad swojemi kłopotami i obmyślały sposoby zaradzenia im.

W naradach tych brały udział osoby fachowe i z życiem stowarzyszeniowem obznajomione i prowadziły je w ten sposób, że prace nowej organizacyi wejść będą mogły odrazu na drogę praktycznych usiłowań, celem uzyskania sformułowanych już żądań. A jest ich już sporo i to ta-

kich, które odpowiednie władze, dbałe o los tych pracownic, tak blisko z życiem rodzin związanych, w najprostszym czasie uwzględnić mają i powinny.

Przedewszystkiem żądają położne ustanowienia we wszystkich dzielnicach obwodowych akuszerek, ponieważ jedna rządowa położna, na całe miasto, nie jest w stanie absolutnie podołać włożonym na nią obowiązkom, skutkiem czego, często chowa się, żeby nie iść do biednych, którzy jej pomocy potrzebują, i muszą je zastępować akuszerki prywatne, nie biorące pensyi i do leczenia darmo wcale nie obowiązane. Posady takie należy obsadzać kobietami najbardziej potrzebującemi, a takich wśród akuszerek, które liczne rodziny wyłącznie swoją pracą utrzymują, jest bardzo wiele

Drugiem, bardzo słusznem żądaniem, będzie ograniczenie prywatnej praktyki położnych, pobierających na klinice i w szpitalu po 600 złr. pensyi, mieszkanie, opał, światło i usługę, a które ciągle prawie są poza szpitalem na prywatnej praktyce, biorąc 50 koron za poród i 10 kor. dziennie. Tym sposobem robią one konkurencyę nie mającym żadnego oparcia akuszerkom prywatnym, które z konieczności i biedy, biorą zastępstwo za szpitalne położne, dostając za to 2 kor. dziennie i nic więcej. Nie mają nawet gdzie i na czem przespać się i odpocząć, bo rządowa położna, opuszczając klinikę czy szpital, mieszkanie swoje zamyka na tak długo, dopóki trwa jej praktyka na mieście lub za miastem.

Co do tych dwóch spraw zamierzają położne wnieść w najbliższym czasie petycye do odnośnych władz i spodziewają się, że przy poparciu ludzi wpływowych, którzy słuszność tych żądań uznają, choć częściowe przychylne ich załatwienie uzyskają.

Najdotkliwiej jednak dają się położnym we znaki zmartwienia, kłopoty i materyalne straty, na jakie naraża je ogromnie niedogodny sposób przyjmowania wykazów i dzienników urodzin, przez fizykat miejski. Przedewszystkiem żalą się ogromnie, że przeznaczono im na składanie wykazów najniedogodniejsze godziny — w niedziele między 10 a 12, kiedy nabożeństwo i konieczność większego, niż w inne dnie, zajęcia, z powodu obecności dzieci w domu u siebie jak i u chorych, ogromnie im to zadanie utrudniają. Postanowiły też wnieść podanie do władz miejskich, o przeniesienie terminu doręczania wykazów, na dzień powszedni.

A już jednogłośnym chórem, często przerywanym płaczem, podniosły się skargi na bezwzględność i brutalność bezpośredniej ich władzy lekarskiej. Łżenia, obelgi, nieustanne kary pieniężne, zdzierane z ciężko pracujących tych kobiet i takim wielkim mozołem zdobywających chleb dla swoich dzieci — oto obraz smutny zgodnie przez wszystkie położne przedstawiony — stosunku ich do miejskiego urzędnika, którego obowiązkiem jest przestrzegać przepisów, ale nadużyciem każdemu uczciwemu człowiekowi

się wydać musi, szykanowanie przepracowanych i nędznie wynagradzanych kobiet i traktowanie najordynarniejszemi wyrazami, poważnych wiekiem i liczną rodziną obdarzonych matek.

Zbieramy materyał do sprawy tej, poparty datami i faktami i ogłosimy go w najbliższym czasie jako ankietę, a mamy nadzieję, że znajdzie się ktoś do tego powołany, co weźmie w obronę krakowskie położne, wejrzy w tę sprawę i położy kres krzywdom kobiet, których zawód i bez tego dość trudu, wysiłku i odpowiedzialności rzuca na barki tych pracownic, w zamian za to nie dając ani ubezpieczenia na starość, ani pomocy na czas choroby, ani zaopatrzenia dla dzieci na przypadek przedwczesnej śmierci.

O to wszystko po kolei upominać się zaczną zorganizowane położne i nie ustaną w usiłowaniach, aż zdobędą to wszystko, co im się za ciężką ich pracę należy. *mt.*

IVO VOJNOVIĆ.

WE MGLE.

(Z MEGO DZIENNIKA.)

Story podniosłem i słabe światlo weszło do pokoju. Mgła jeszcze pokrywała miasto. Nie była to już owa gęsta, żółtawa zasłona, która się dzień przedtem pod wieczór układła po ulicach, zamknąwszy wszystkie widoki obsłoniwszy gazowe latarnie ledwie przeźroczystym dymem, wcisnąwszy się w każdy prawie otwór, jak gdyby z nieba płaty wełny na ziemie opadły. Słabe tchnienie rannego wiatru rozprószyły gęste masy rozsnutych mgieł, które cichym lotem dźwigały się w górę. Tylko jeszcze dokoła dzwonnic i wież wiły się gęściej; — ich ciemne zarysy zaledwie majaczyły, jakby w bezkresnej oddali.

Mgławica znikła i widok się oczyścił od placu do ulicy. Niekiedy widać było, jak po dachach spinały się resztki dźwigających się obłoków, jakby dym z jakiegoś ogromnego komina. W dali siniał ów, od gęstej mgły niebieskawy dym, wilgotny, zgnilizną uderzający, który zazwyczaj w dnie ponure świat zasnuwa cały, tyle tylko przeźroczysty, że widzisz kraj swej ulicy.

Smutne było to rano bez światła. Na niebie tylko jedna rozciągnięta chmura, która się coraz niżej i niżej spuszczała nad ziemię, dzwonnic się dokoła czepiając, rozdzierających ją swymi pozłoconymi krzyżami. Z tego mglistego całunu sypał wśród dymu rozprószonych mgieł drobny, wodnisty pył, który na bez ruchu stojący, zadymiony widnokrąg rzucał chmury ruchliwych pajęczyn. — Dachy lśniły na kształt bielejącej się cyny. W błyszczącem ich zwierciedle odbijał się błękit nieba, jak w spokojnej powierzchni

smutnego, polnego bagniska. Cała ta jednostajność barw, ta wilgoć mgły i deszczu, ta posępność przyrody, co naga, ziębnięta zimowego wyczekuje futra, by pierś jej ogrzało, — wlewa ci w duszę jakąś leniwość, jakąś bezimienną niechęć do wszystkiego, którą tylko zgiełk świata i jego życie zgłuszyć może.

Przyroda w takich chwilach drzemie, jak starzec, którego śmiertelny chwyta sen; — przy wpół zamkniętych powiekach myśli o tem, co już przeszło: — o zieloności lasu, o świergocie odbiegłych jaskółek, o pozłocistej kurzawie, co wije się wesoło po drodze, o skowronku, co niesie w niebo przyrody pieśń i młodości, o ciszy czarownych nocy letnich, kiedy na niebie i na polach drżą gwiazdy i światełka. Myśli starzec, a myśli i przyroda! — Tasama mglista zasłona ściele sie przed jego wzrokiem. Tosamo słowo przedziera się przez jego wargi: wiosno!... gdzieś ty? — Wiosno?... O niej śnił pewnie i gołąb, który wyglądał naprzeciw mego okna przez otwór pobliskiego dachu i tęskno gruchał i poruszał głową, jak gdyby kogoś wołał. W letargu tego rana dochodziło do uszu moich to jego gruchanie nie, jako głos wiosny, lecz jęk samotnika. Z poza zroszonej szyby śledziłem leniwem wejrzeniem wszystkie jego ruchy i im bardziej mu się przypatrywałem, poznawałem, że cierpi, jak i ja.

Lecz on był swobodny.

Z otworu, w którym się był ukrył, skoczył na czarowne piersi rozwalonej karyatydy. Z boku przyjrzał się jej, jakby nie dowierzał jej milczeniu, skoczył na jej kolana i, okręciwszy się raz jeszcze, by spoglądnąć w rozkoszne lice i wieczny uśmiech jej mokrych ust, poruszył główką i na dach odleciał. Stamtąd mógł się przyglądać wszystkim ulicom, aż do placu, mógł widzieć na wiosnę wierzchołki cienkich jodeł, co sterczały nad moim domem, i tam, w dali, przez kominy i wieże pozdrawiać w dnie jasne, ciemny błękit gór.

Teraz na dachu gorzej było, niżeli w otworze; chłodny wiatr szarpał resztkami mgły, rzucał deszczem, zawijał się około komina, tłumiąc ciemny dym, który się na krztałt mokrego pierza unosił w powietrzu. Na zadymionym widnokręgu kłębiły się mgły deszczu, chmury i pary ciężkim, lecz nieustannym ruchem. Z gniewem przechadzał się gołąb po dachu. Kręcił się wkoło siebie, wcisnął kark między skrzydła, gruchając głucho i gniewnie. Nastroszyła pióra od zimna i złości. Na raz podniósł głowę, jak gdyby posłyszał znany głos. Popatrzył czarnym okiem na coś, co posuwało się od strony placu, skoczył ku kamiennemu brzegowi, skąd woda do rynny się przelewała, skinął raz jeszcze głową i otworzywszy skrzydła, prostopadle spuścił się na ulicę.

Stado gołębi przeleciało — nie wiem skąd, — i zatrzymało się przy kupie błota.

Czegóż nie może zły humor! Byłem zbyt ociążały, by się ocknąć z zapatrzenia i odejść od okna odkąd ten letarg przyrody i mnie zwolna ogarniać zaczynał. Oglądnąłem się, lecz w pokoju ciemność wypełniała każdy kącik. Tylko w głębi rozbijał tę ciemność gładki odblask starożytnego pieca, co lśnił się bladą farbą kafli.

Pustka i zimno. Szukałem okiem czegoś żywego, by się wyrwać nudzie tego nieszczęśliwego ranka, lecz prócz fortepianu wszystko było nieme. Usiadłem i uderzyłem. Chłodne i gładkie klawisze, ileż to razy czułyście gorące dotknięcia moich palców i drżałyście pod tajemniczem strumieniem uczucia i bolu, które z mego serca spływały w wasze struny! Przyjaciel nie słyszał nigdy tego wszystkiego, com ja im powierzył. Fortepian mój był głosem me duszy, jedyną księgą, w której pisałem dźwiękiem wszystko, co w najdalszym zakątku taiło serce przed ludźmi, a niekiedy i przed sobą.

Fantazuje! — mówili śmiejąc się znawcy.

Piszę! — odpowiadała dusza po cichu, a klawisze wiedziały, o czem śnię. Raz tylko struny zanadto powiedziały jasno. Kobieta je słyszała i zrozumiała.

Było to w pokoju, niedaleko sali balowej. Przez aksamitne zasłony dochodził dźwięk orkiestry i blask jaśniejących lamp. Byłem sam, zajęty jedną tylko myślą, usiadłem do fortepianu i uderzywszy w klawisze, pozwoliłem radości i tęsknocie rozlewać się po nich dźwiękiem, co z ciszą tylko rozmawia. Zdawało mi się, że mówię z instrumentem, że odkrywam mu piękno tych marmurowych ramion, urok tego czarownego spojrzenia. Każda struna fortepianu drgała, jak moja ręka, kiedym ją w pół chwytał i z nią w wir tańca leciał. Nie wiem, co muzyka pod wylewem tego uczucia zaśpiewała, zapewne pieśń miłości, ale naraz uczułem na swem ramieniu dotknięcie jej ręki. Nie słyszałem jej kroku, ani szelestu białej, długiej jej sukni, — stała za mną, zapewne oparta o moje krzesło, a przecież, gdy mię ręka jej dotknęła, drgnąłem, jak gdyby struna mych myśli i fala muzycznych dźwięków krzyknęły wśród ciszy: ona jest! Siły mi nie stało, ręka dotknęła raz jeszcze klawisza, a z ostatniem echem umierającego dźwięku — ona szepnęła:

— Dziękuję! W warkoczach miała gałązkę jaśminu, a na śnieżnem ramieniu trzepotał się czarny nocny motyl. Gorzkie wspomnienie! Półmrok zamglonego poranku, deszcz, który pryskał po szkle okna, jak ziarna piasku którym fala o brzeg rzuca, pustka ciemnego pokoju — spłoszyły to widmo młodości, jak czas, co rozdarł skrzydła tego motyla. Pozostałem znowu sam, bez pragnień, złamany, zniechęcony, wpatrzony w fortepian, któremu nie miałem już nic do powiedzenia. Och! te nerwy, co czują smutek i wesele, te stare struny popękanych skrzypiec, co dzwonią, gdy tchnienie wiosny koło nich przejdzie, zbiły się potargane w mem ciele, i w mej bezpamięci rozsnuty ów niebieskawy dym mglistego poranku.

Dzień nastał, lecz światło świeciło jakby od niechcenia. Chmury ścisnęły się, zakrywszy i cienkie druty gromochronów na dachach, a deszcz cedził się w długich, niezliczonych, drżących wstęgach.

Po ulicy sączyło sie błoto, żółtawe, wodniste, wlokące za sobą leniwe potargane, suche liści i kawałki podartego papieru. Rozszerzywszy się na kształt małej rzeczki w kałużę, gdzie kupa zabłoconych wróbli rozsiadła się krzykliwie i zamięszawszy się z wodą, co z pluskiem płynęła ze ścieków, ciągnęło się ku otworzonym kanałom, w które się zlewało z szumem wodospadu.

Dziwne to sceny — patrzeć wśród tej mieszaniny kałuż i błota na ów smutny, bezimienny sznur dzieci, sług, wieśniaków, robotników, którzy chyżym krokiem defilują przed nami — każdy zajęty swoją pracą, każdy z troską o swoją nędzę. Zdaje się, jakoby mgła i deszcz z góry, a brud i błoto z dołu sprzysięgły się, by z nagości i biedy nędzarzy zedrzeć ostatni łachman, co im ciało okrywa. Wiatr pomaga zbrodni przyrody, ciskając w twarz im kroplami deszczu, szarpiąc perkalowe odzienia łachy i strzępy pokrywając błotem, co napełniło już każdą dziurę zchodzonego obuwia. Zaledwie słyszysz kiedy niekiedy gwizd jakiegoś szewskiego chłopaka, lub kłótnię zabłoconych wróbli, co się poklóciły o grudkę gnoju.

Powòz przejechał, rozpędził wróble, i gołębie, opryskawszy błotem przechodniów i zniknął we mgle. Na ulicy wiatr goni nowe chmury, z jękiem przewala się po kominach i piecach i rzucając garściami kropel w okna, przysiada na każdej szybie, jak gdyby wołał: Tu jestem! strzeżcie się mnie! Obraz cudzych bolów pod tem niebem poruszył i moją wyobraźnię. Patrzyłem na mgłę, jak gdybym miał przed sobą zasłonę, za którą się kryje głód, nędza, zbrodnia. — Niełatwo wierzysz w ludzkie cierpienie, gdy słońce ogrzewa domy i roznieca w każdem ubogiem okienku promień wesela. W jasności przestworza, gubi się bolesne westchnienie nieszczęśliwego; człowiecze ucho musi słyszeć wicher, by wspomnieć o tych, w których on uderza. — To były moje rozmyślania, kiedym oparłszy czoło o szybę, patrzył na smutek przyrody.

Po zapoconych szybach ściekały krople deszczu, zatrzymując się tu i ówdzie na gładkiej powierzchni, jak gdyby ciche łzy. Raz jeszcze spoglądnąłem ua ulicę — deszcz zmoczył wszystkie mury, a drogą ciągnęło się gęste, rozchlapane, żółtawe błoto. Obrzydliwe obrazy! Odwrôciwszy wzrok odszedłem od okna i począłem przechadzać się po pokoju. Naraz wśród ciszy posłyszałem jakby słaby głos fujarki, tak cichutki, jak gdyby płynął gdzieś z oddali. Zrazu nie chciało mi się spojrzeć, czy nieznany artysta idzie za pędem swego muzykalnego humoru, czy też korzysta z dobrej sposobności i ćwiczy się wśród tej nudy mglistego ranka na dawno zapomnianym instrumencie, lecz niebawem pokazało się, że dźwięk dochodził z ulicy. Tam na

dole, pod pierwszym domem przy placu stał człowiek i kręcił katarynkę. — Teraz zrozumiałem zupełnie jasno drżące tony „werkla“, kataryniarz powoli przybliżał się.*)

Wyciągnięte tremolo tej „orkiestry biedaków“, jak ją ktoś trafnie nazwał, jej płaczliwy, drżący głos, który powtarza ustawicznie tesame arye z przeszłości, potrafiłby mną i w najjaśniejszej chwili wstrząsnąć. Od dzieciństwa odczuwałem to wrażenie; pierwsza myśl, która mi się nasuwa, gdy słucham przeciągłych dźwięków katarynki, jest myśl rozstania.

Lecz tego posępnego ranka głos katarynki drżał bardziej, niżeli zwyczajnie; niekiedy gubiły się jej tony, jakby ją dreszcze chwytały. Drżenia te stawały się coraz głośniejsze. Melodya za melodyą wlokła się wolna, smutna, porwana chrapliwymi tony, lub głuchem sapaniem, jakby ust, świszczącem boleśnie wyrazem pragnienia, łez, jęku i bolu. Ręka, która tę katarynkę obracała, rzadko kiedy musiała przełamywać kromkę chleba.

Zgłuszyć ten głos było niemożliwem, uwolnić się od niego, tem mniej i wziąłem więc książkę, by czytaniem stłumić tę muzykę głodu. Lecz napróżno wszystko,... jej dźwięk przygłuszał turkot kół pasował się z wiatrem, zmuszał mię do słuchania, aż wkońcu i ja, wypuściwszy z ręki książkę, posłuchałem z pod okna mego płynących dźwięków katarynki, co jak zziębnięty żebrak, zaśpiewała pod domem aryę „Traviaty“: »Ah quell' amor!...

Pieśń miłości zmieniła się w pieśń żebraka. Namiętny śpiew Violety,— to tchnienie zgubionej duszy, ten krzyk tęsknoty za nieumierającą miłością, który wśród blasków teatru z piersi namiętnej wyrwawszy się, przeleciał po całym świecie i rozigrał uśmiechem rozkoszy duszę każdą, tasama pieśń jakby w drodze zbłądziła, toczyła się nieszczęsna wśród błota, wołała już nie: miłości! cóż jej po niej? lecz błagalnie wyciągała rękę i prosiła: „tylko centa!“

„Crocee delizia“ mówiły płomienne słowa, a katarynka wyciągnęła tę miłosną cadenzę do najwyższego tonu, jak gdyby wiatr zagwizdał przez szczeliny skał i zabłysnął w półmroku mglistego poranku.

Skąd o tak rannej porze, wśród gęstego deszczu — skąd ciągnie ten biedny kataryniarz? Zima zazwyczaj pędzi tych podróżujących artystów, tylko na Boże Narodzenie doleci z ziemi, „gdzie pomarańcze rosną“, głos jakiegoś ciągnącego „organetto“ i wtedy w jasne, zimowe dnie posłyszysz niespodzianie, jakby głos zawcześnie przybyłej jaskòłki, cienkie tremolo katarynki, grającej wieczną: »Mira o Norma«, podczas gdy na rogu ulicy przez gorący, wonny dym pieczonych kasztanów przelatuje powietrzem głos, kończący się włoskim refrain'em: »Maroni caldi«. Ale w tak deszczową

*) Są to t. zw. na wybrzeżach dalmacyi „orguljaśe“, grywający na pewnego rodzaju katarynce, zbliżonej nieco z głosu do organów.

porę, w tak wczesne rano?... Kto mi odpowie na to pytanie — pomyślałem sobie, gdy w tem ktoś po cichu zapukał do drzwi mego mieszkania. Katarynka umilkła.

Otworzyłem drzwi. Na progu stało dziecię, odziane w mokre łachmany; dziewczynka jakich dziesięciu lat. Gdyby jaki malarz chciał przedstawić najczarniejszy obraz biedy, lub gdyby był posłyszał dźwięk owej bolesnej pieśni miłosnej, wzbudził myśl w wyobraźni i chciał dla niej znaleść ludzką podobiznę nigdy nie stworzyłby innego typu. Ja sam, w pierwszej chwili, popatrzywszy na tę nędzną istotę, co się trzęsła pod mokremi sukienczynami od zimną, wspomniałem dźwięk zużytej katarynki i zdawało mi się, że z tego to wątłego gardziołka wyszła owa żebracza, bolesna arya »Traviaty«. Dziewczynka wyciągnęła rączkę, czerwoną i mokrą, a drobny głosik, podobny drżącemu dźwiękowi owej katarynki, szepnął:

— Proszę centa dla taty!

— Ty towarzyszysz ojcu? — zapytałem ją zdziwiony. Dziecię, nie spodziewając się, że je będzie kto wypytywał, popatrzyło na mnie wielkiemi, modremi oczyma. Rumieniec wstydu, strachu, czy czego — za chwilę blade lice, i dziewczę skinęło główką.

Na dole, w podwórzu kataryniarz rozpoczął na nowo granie. Katarynka zbliska jeszcze chrapliwiej skrzypiała. Sięgnąłem do kieszeni — lecz ani centa.

— Czekajno, mała, rzekłem i odszedłem do drugiego pokoju po pieniądze. Kiedym się wrócił, dziecię było w przedpokoju. Dziecięca ciekawość zawiodła je do ciepłego schronienia. Zmarznięte ptaszę zapomniało, że jej za wielkie trzewiki obłożone całe błotem, że z jej ubogiej sukienki i ciemnej chustki, co jej ciało okrywała, cieknie woda, jak z mokrego szczenięcia. Zapomniało biedactwo o ojcu, który wsród deszczu kręcił swoją katarynką, a i o mnie, którego o jałmużnę prosiła.

Piec swem gorącem tchnieniem przyciągnął do siebie dziewczynkę. Przy białem brzuchastem ciele starego dobroczyńcy grzało się biedactwo, utkwiwszy oczy w otwartych drzwiczkach, skąd wesoły, niespokojny płomień rzucał pomarańczowe odblaski na jej ciemną postać. Ten odblask zaświecił w rozszerzonych jej źrenicach, zamigotał w kroplach, co spływały po jej czole i odzieży i podarte łachmany złotemi zdobiły igłami.

Wilgotna para unosiła się zwolna z tego mokrego ciała.

— Na masz, moje dziecko, rzekłem, dając jej jałmużnę.

— Bóg zapłać i Matka Boska — odpowiedziało dziewczę cichem śpiewaniem, jakby odmawiała dawno wyuczoną modlitwę, i oddaliła się zwolna ku drzwiom.

— Idziesz teraz do domu? — zapytałem ją, trzymając drzwi na wpół otwarte.

— Nie — odpowie mała, spuszczając wstydliwie głowę. Brakuje nam jeszcze... coś trochę...

W rączce obracała pieniądz, który jej dałem.

— A cóż ci brakuje?.. zapytałem ją, zapatrzywszy się w jej czarną chustkę, która zakrywala jej blade oblicze. Kilka jasnych loków wysunęło się koło skroni.

Katarynka grała »Mandolinate«. Dziecię postąpiło do progu, ciągnąc za sobą niezgrabne buciska i zapatrzyło się w płomień rozżarzonego pieca. Widziałem: chciała mi coś powiedzieć.

— Umarł mi braciszek..., Piotruś... rzecze mała słabym głosem i popatrzy na mnie szeroko rozwartemi, łzami nabiegłemi oczyma.

Wszystkie bole smutnego dzieciństwa odbijały się w tych modrych, tęsknych oczach. Jej oko wielkie, martwe, odkrywało mi całe cierpienie, całą ciemność, w jakiej nieszczęśliwa żyć musiała. Na bladem, dziecinnem licu oko to było jakieś stare, smutne, rozszerzone, jakby w ciemność patrzyło.

— Trzeba nam było trochę pieniędzy, ciągnęła dalej dziewczynka nieśmiało, bo Pietruś musi dostać trumnę i świeczki, a mama chce i wianuszek białych różyczek. Dlatego tata wzieni katarynkę i powiedzieli mamie, że pójdą grać na trumnę, ale nie na białe różyczki... Paskudny czas — nikt nie otwiera okien. —

Mała mówiła jak dziecię, które patrzy każdego dnia na coś gorszego, niżeli śmierć.

Umilknąłem. Obraz tej siostrzyczki, która po deszczu i błocie towarzyszy ojcu, by zebrać cośkolwiek »na trumnę« dla zmarłego brata, wydał mi się tak żałosnym i rozpaczliwym, że posmutniałem. Dziecię odeszło — pewnie przestraszone dlaczego je wypytuję.

Przebudziłem się. Pobiegłszy za nią, wcisnąłem jej wszystko w rękę, co przy sobie miałem i zapytałem z cicha:

— Dlaczego nie zostałaś w domu z mamą?

Przestraszona moją szczodrobliwością i zaniepokojona, że dała ojcu tak długo na siebie czekać, odwróciła się ku mnie. Trzymała się jedną ręką muru i patrzyła przed siebie na schody. Na moje ostatnie pytanie na jej ustach pojawiło się coś, jakby uśmiech; popatrzywszy się na mnie zdziwiona, jakby się dziwiła mej nieświadomości:

— Przecie tata jest ślepy! — odpowiedziała.

Miałem jeszcze chwilę czasu, by dowiedzieć się, gdzie jest siedziba tej strasznej nędzy, poczem, puściwszy dziecię, wróciłem do swego pokoju.

. . . .

Edypie i Antygono, czemże wy wobec tego katarynkarza, który wlecze się, wlecze po błocie z swem zziębniętem dzieckiem!... Baśnie — nadęte,

epiczne wymysły, które pokrywają płaszczem wielkości nie ludzkie nieszczęścia; gładkie, dźwięczne wiersze greckiej poezyi, tej bogini marmurowego, nieruchomego uśmiechu i nic więcej. Cóż jest wasz los, którym kieruje wściekły gniew głupkowatych bogów, wobec nieszczęścia owego nieznanego, bezimiennego ślepca, który wyszedł z ciemni psiego legowiska, by kręcić wśród deszczu i mgły katarynkę dla syna zmarłego na pogrzebanie? — A przecież za Edypa leją się łzy retoryki, a ciebie, kataryniarzu, niema i pożałować komu!...

Dlaczego?

Czy może dlatego, że Edyp wędrował z lirą w ręce, a ty tylko z katarynką?

Pół godziny później byłem na ulicy.

Czułem, że potrzebuję ruchu, że muszę zabrać się z domu; chciało mi się... dziwne myśli, pędzić ulicami i brnąć w błoto i odczuć, choć na chwilę tę wilgoć i zimno obrzydliwego pora ka Wierzcie mi, coś się we mnsi gotowało; byłbym zostawił wtedy wszystkie pańskie towarzystwa i zabawy i otworzył drzwi na oścież i krzyknął bogaczom: zejdźcie tu! Spróbujcie i wy trochę owego powietrza nędzarzy! Śledząc tylko myśl, która mi się żelazną bezwzględnością do mózgu cisnęła, przeklinałem sam swoją słabość wyrzucałem własnemu usposobieniu to, z czembym się nigdy nie rozstał.

— Dokąd spieszysz? zapytał mię przyjaciel, któregom nie był spostrzegł.

— Przechadzam się, odpowiedziałem obojętnie i chciałem iść dalej.

— O tym czasie? ciągnął dalej śmiejąc się. Gdzież twoje lenistwo?

— Zostawiłem je przy piecu. Mam interes. Skończyłem i umilkłem.

I miał się słusznie czemu dziwić. Sam nie wiedziałem, co za siła wyciągnęła mię z mego ciepłego pokoju, od mego biurka i tego wygodnego uczucia egoisty, który zapaliwszy cygaro przypatruje się tylko przez szybę nędzy bliźniego. Pędząc po brudnych ulicach, brodząc po błocie broniąc się przed drobnym deszczem, widziałem przed sobą ciągle te modre, wielkie oczy, obraz cierpiącego dziecka i mimowoli zanuciłem aryę z „Traviaty“.

Chciałem widzieć!

W książkach, które mówią o ludzkiej niedoli, słowo zazwyczaj nie odpowiada prawdzie. Napróżno się trudzi pisarz w najczarniejszych barwach przedstawić nam obraz ubóstwa, rzeczywistość jest jeszcze czarniejszą. Frazes, chociażby był i w błocie pisany, żąda przedewszystkiem by nań zwracano uwagę, stąd i najskrajniejsi realiści niosą zawsze w ofierze swemu stylowi własne swoje zasady. Tego ranka odkryła się i przedemną ta zasłona i ujrzałem przez siwą mgłę przyrody głębię ludzkiej niedoli.

Przeszedłszy rynek, popędziłem ulicami. Ciężkie powietrze, dyszące jakąś zgnilizną, rzekłbym kuchenną, przeobraziło ulice w słabo oświetlone chodniki, nad którymi się zaciągnęło mgliste niebo, na kształt mokrej krepy. Wil-

goć, jaka się unosiła w powietrzu, wśród dżdżystej kurzawy, pokryła każdy kąt, poczerniła domy, pociemniła złote litery sklepowych tablic zapociła szyby przez które zaledwie widać było pochylone twarze kupców.

Poszedłem w najbardziej opuszczoną część miasta. Przedmieście pogrążone było w głuchym spokoju. Niskie domki ciągnęły się szeregiem, jeden za drugim, brzuchate, o pochylonych dachach i maleńkich oknach. Ściskały się pstre i gęste, drzwi przy drzwiach zbite, jakby wał obronny przeciw nawale miejskiego państwa, rozsiadłe w błocie, które im podnóża bryzgało. Woda sączyła się ze sterczących rynien, bulkotała pzzez zniszczone zagięcia rur, żłobiła jamy. mięszała się z błotem i przetwarzała ulice w rodzaj jakiejś gęstej, błotnistej rzeki, w której się odbijały ciemne dachy domów. Mało ludzi na drodze. Z niskiego sklepu wychodziła tylko, od czasu do czasu, jakaś kobieta w mokrym odzieniu i zakasanych rękawach. Leniwo szłapała pantoflami po błocie, pogadała na deszczu z jakąś towarzyszką, i znikła. Gdzieniegdzie zaszczekał pies na podwórzu, zaskrzypiał wóz wiejski i znowu wszystko było cicho, jakby padł śnieg. Im dalej szedłem, tem gęstsza była mgła, domki coraz niższe; miasto się kończyło. Owe chałupki, co się tu ciągnęły, podobne były do ostatnich resztek rozpruszonego światła. Długie płoty odkrywały pożółkłe ogrody, suche liście trzęsły się na drzewach i cicho spuszczały się na ziemię. Na końcu ulicy musiało się ścielić nieprzejrzane pole, lecz mgła zasnuła wyloty ulic i rozpostarła się po drodze. Znużony ciężką drogą i dusznem powietrzem, patrzyłem po niskich chałupach, szukając podanego przez dziewczynkę numeru. Szczególnie jedna z nich zatrzymała me oko na sobie. W pierwszej chwili zdawało mi się, że jest to tyko sam dach; lecz przybliżywszy się, ujrzałem dwa małe okienka tuż nad ziemią, a nad ziemią wiszący hut. Jak głowa topielca, któremu woda do ust już sięgnęła, sterczało to dziwo na rogu ulicy. Zgiąłem się, by zajrzeć do izby, była to karczma. Przy stole siedziała gruba, pijana kobieta. Rozwaliła się na ramieniu swego towarzysza i śmiała się smiała, że aż jej ciało podskakiwało na krześle. W kącie ktoś wygrywał na harmonijce, a przy oknie drzemał pijany wieśniak. Numer 152 było napisane na tablicy. Przed furtką pobliskiego płotu płakało dziecię w koszulinę zaledwie odziane, posiniałe nóżki brudnemi plamami były popstrzone. Wielki domowy pies stał bezradny obok i patrzył na nie. Poszedłem dalej. Śmiech owej kobiety i płacz dziecka zamierały w dali. Pies zaszczekał i oglądnąwszy się po ulicy, wrócił znowu na podwórze.

Bóg wie, co sobie myślał!...

Chłodny wiatr zadął, pędząc drogą z równiny chmury ku miastu. Poczułem zimno i zapragnąłem dorożki. Ale nigdzie i śladu jej nie było. Drogę tylko przechodziła gromada wieśniaków. Krzyczeli, sprzeczali się, rosprykując na wszystkie strony błoto krypciami.

Sąd niesprawiedliwie osądził, zawołał jeden na środku ulicy i trzej inni zawtórowali mu, plując na ziemię i grożąc pięściami, wszyscy na raz, lica w lice, ręka w rękę, z uporem i zaciętością. Kobiety trzymały roztworzone, czerwone parasole, i podkasawszy suknie, darły się, jak wrony, gdy na ścierwa padną. Przeszli i oni. Głosy rozlegały się słabo, tylko w oddali bieliły się suknie wieśniaczek. a czerwone parasole, na kształt ogromnych grzybów kołysały się, pokrywając swym płomienistym blaskiem tyle nędzy, złości i ciemnoty

Nr. 183. Ot jest, zawołałem, ale gdzie dom? Tablica była przybita nad bramą ogrodzonego podwórza. Błękitny dym dźwigał się z wewnątrz w górę, a powietrze przesiąknięte było smrodem dymiącego gnoju. Otworzyłem bramę. Na przestronnem miejscu ładowało kilku wieśniaków na chłopski wóz śmiecie z głębokiego dołu... Kilka gąsek wałęsało się po podwórzu. Chałupa była zasłonięta z jednej strony wysokim składem nagromadzonych belek... Nigdzie żywej duszy.

Czego chcecie, panie? posłyszałem za sobą głos niewieści. Była to jakaś stara kobieta po małomieszczańsku odziana. Dźwigała z wielkim trudem koryto, pełne deszczówki.

— Szukam rodziny kataryniarza, odpowiedziałem.

— Ach, zamruczała stara i uśmiechnąwszy się mrugnęła oczyma chytrze To jest w tamtej chałupce, z drugiej strony. Biedaka, pomarło im dziecię...

Chciała dalej mówić, ciekawość ją niepokoiła; lecz ja odwróciwszy się, przeszedłem brudne podwórze i skręciłem po za dom. Drugie skrzydło było dobudowane lepiej mówiąc krzywy budynek przedłużył się o jedną, nowoprzylepioną izbę. Małe okienko, nawpół otworzone, zaledwie kilka stóp wzniesione nad ziemią, uderzyło moją uwagę, i zaglądnąłem... Ukryłem się za starym budynkiem, skąd mię nikt nie mógł zauważyć. W tej chwili nie byłbym się ani na krok poruszył, ani słowa nie wyrzekł. Patrzyłem tylko a i to było za wiele. W ciemnej kuchence, której ściany już wilgoć przegryzła, ujrzałem nagle martwe ciało dziecka. Leżało wyprężone na niskiej pościeli, do pasa przykryte przerzuconą spódnicą. Zwiędłe lice spoczywało na białej poduszce. Ta śnieżna białość płótna była jedyną ozdobą śmiertelnego łoża. Popielata barwa oblicza, przysłonięte cieńką, niebieskawą pręgą nabiegłej krwi okrążone oczy, małe, poczerniałe usta, owa niewypowiedzialna barwa martwego ciała, która na krańcach przechodzi w zielonawą biel, wszystko to było znakiem pewnej śmierci.

Słabe światło mglistego poranka rzucało na to zwiędłe bezwładne ciało blady odblask, podczas gdy wśród ciemności nędznej izby zaledwie można było rozróżnić postać skulonej kobiety, która zakrywszy sobie twarz fartuchem, cicho szlochała.

Wieczny sen odebrał matce dziecię...

Fala niedoli i ubóstwa, która jak podziemna rzeka, huczy i targa ludzkość całą, zadławiła i tę małą ofiarę; topielec w morzu powszechnej nędzy spoczywał teraz na ubogich marach. Nad nim rozpostarł ramiona czarny krzyż. Znak zbawienia wisiał na mokrej ścianie, nad ciałem martwego dziecięcia. Jego czarne wstęgi rzekłbyś rozszerzyły się w ciemności jak skrzydła ptaka nad próżnem gniazdem.

— Dobry był mówiła mi później uboga kobieta, chodził do pierwszej klasy, i pokazała mi w kącie, na ziemi parę książek. Obok mar stał komin słaby ogień pryskał. W garnku gotowało się nieco ziemniaków. Biedna matka otarła łzy i pochyliwszy się nad ogniem, jęła z całej siły dmuchać. Twarz jej poczerwieniała, a gęsty dym napełnił całą izbę. Jam patrzył na nieboszczyka i na tę nieszczęśliwą: wiedziałem, co jest nędza. Chciałem już odejść, gdy wtem drzwi się otworzyły i do wnętrza weszła silna, pleczasta dziewczyna.

Piękne jej czarne oczy były smutne i zaczerwienione, widziałeś ślady płaczu. Ubrana, jak zwyczajna służąca, nie rzekła ni słowa nie popatrzyla ni na matkę, ni na mnie, lecz poszła prosto ku nieboszczykowi i rzuciła się nań, okrywając go pocałunkami. Woda kipiała na ogniu, a dziewczyna jęczała i zawodziła boleśnie.

Wkońcu targnęła się, wyciągnęła za pazuchy zawiniątko i podając je matce:

— Na, macie ubranie dla Pietrusia, rzekła surowym głosem, pochowajcie go w niem. Podarłam moją białą sukienkę do tańca i takeście mi dosyć bez nią nawypominali... Kiedy już ja ją nie będę nosiła, niech ją choć braciszek wdzieje; przerobiłam ją...

Odwróciwszy się następnie ku martwemu dziecku, popatrzyła na nie, raz jeszcze z wyrazem dzikiej boleści.

— Bądź zdrowe, złotko moje jęknęła dziewczyna. Cóż ja teraz pocznę bez ciebie i ukrywszy twarz w dłoniach, odeszła, nie rzekłszy matce ni słowa. Matka tymczasem wypróżniła garnek i poczęła obierać ziemniaki. Gorąca, wodnista para okryła potem jej lice, po którem łzy jeszcze spływały.

— Patrzcie ją, jaka mi to, rzekła kobieta, skoro dziewczyna wyszła z izby. W ostrym głosie i pochmurnym wyrazie twarzy ujrzałem ślad owej nieszczęsnej nienawiści, jaka często płonie miedzy matką i córką.

Uciekła mi z chałupy łońskiego roku za jakimś nicponiem, ciągnęła dalej matka przekornym głosem. Ostawił ją, a ona służy i tańczy. Jeno Piotrusia jednego kochała ... A teraz?... Zmiłuj się, Boże, nad nią... niema dziewka serca.,.

I otarła mokre oczy.

Pocałunki siostry pochyliły nieco głowę małego nieboszczyka; zdawało się, że on z boku patrzy na matkę...

Wyszedłem zamyślony. Przy bramie podwórza spotkałem ślepca. Plecy miał obładowane katarynką, a małe wiodło go za rękę. Dziecię mię poznało i szepnęło coś ojcu. On zdjął kapelusz i stanął na środku podwórza ze swemi ciemnemi oczyma, zabłocony, mrucząc słowa podziękowania. Był to silny, barczysty człowiek; w kamieniołomach dynamit odjął mu oczy.

Dziecię popatrzyło na mnie raz jeszcze spokojnym uśmiechem i przybliżyło się ku mnie. Biedactwo zarumieniło się przez swoją nieśmiałość ale przecież pierwsze przemówiło:

Kupiłam i wianuszek rzekła, pokazając na kieszeń ojca, w której było schowane białe zawiniątko, i pobiegła znowu ku niemu.

Poczułem łzę pod powieką i otarłszy ją ręką, odszedłem na ulicę.

Dzwoniono na południe. Po zamglonem powietrzu unosił się dźwięk dalekich dzwonów, lecz przygłuszony, jakby je w sukno osłonięto. Dźwięczne fale dochodziły do mnie słabe, tęskne, a przecież przecież pustka, wśród jakiej się znalazłem, nie zdawała mi się tak rozpaczliwą.

Zdało mi się, że słyszę głos pociechy.

Dzwony rzekłbyś rozumiały pytanie, które ściskało mi serce, jakby gwoździstą dłonią.

Czem jest to życie?... pytałem sam siebie: wstrząśnięty, znękany tak wielką nędzą ludzką.

»N a d z i e j ą« odpowiedziały mi dzwony.

Nakładem wydawnictwa „Nowe Słowo". — Drukiem Józefa Fischera w Krakowie.